



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Anna Kociuba

„Element rasowo wartościowy”

Z ogromnym trudem i rozterką, po wielu miesiącach namysłu, z bólem serca biorę się za napisanie tych wspomnień z lat wojny. Robię to z miłości do moich rodziców, którzy już odeszli, dla mojej rodziny, a zwłaszcza ukochanego wnuka, by wiedział, co to wojna i jak przeżyła ją jego babcia.

Chcę w ten sposób uczcić też pamięć mojej zmarłej przedwcześnie przyjaciółki z lat szkolnych i młodości, która wciąż namawiała mnie do utrwalenia tej historii, a przede wszystkim dla samej siebie, by nie zapomnieć o tych strasznych latach przeżytych w dzieciństwie. Piszę, choć to bardzo boli i wywołuje mnóstwo strasznych wspomnień.

Urodziłam się w Zgierzu i byłam jedynym dzieckiem moich starszych już wówczas rodziców. Nie miałam jeszcze trzech lat, gdy rozpoczęła się wojna. Mój ojciec sam pracował i nie powodziło nam się dobrze, ale dzięki ogromnej miłości i czułości rodziców dzieciństwo wspominam jako wspaniałe, szczęśliwe i pełne ciepła. Tak było aż do roku 1943, kiedy zaczął się dla mnie prawdziwy koszmar. Mieszkaliśmy blisko koszar, w których stacjonowali niemieccy żołnierze. Często myśleliśmy, że to było powodem nagłego zainteresowania się Niemców, którzy często widywali mnie bawiącą się z rówieśnikami na ulicy. Pewnego razu rodzice otrzymali nakaz stawienia się ze mną w szpitalu wojskowym w Łodzi. Tam poddano mnie bardzo dokładnym badaniom i pomiarom antropologicznym. Niezbyt dużo z tego zapamiętałam, ale wiem, że nawet mierzono rozstaw oczu, szerokość nosa itp. szczegóły anatomiczne. Potem okazało się, że badania te były konieczne, by ustalić, czy nadaję się do germanizacji.

Niestety – nadawałam się i zostałam zakwalifikowana. Pamiętam ogromną rozpacz rodziców i czynione przez nich zachody, by uniknąć odebrania im jedynego dziecka. Nie mieli jednak pieniędzy ani żadnych „dojść” i tak nadszedł ten pamiętny dla mnie dzień. Nie miałam jeszcze 7 lat i nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego, co dzieje się wokół mnie, nie wiedziałam, dlaczego wszyscy płaczą i ściskają mnie.

Mama poszła ze mną do fotografa (mam to zdjęcie do dziś), a potem w mój płaszcz pod podszewkę wyszyła kawałek materiału, na którym wypisała wszystkie moje dane personalne. Prosiła, bym nie zostawała się z nim, to zawsze będę wiedziała, kim jestem. Nie umiałam jeszcze czytać ani pisać i rodzice bali się, że poddana wynarodowieniu zapomnę o tym, gdzie się urodziłam i że jestem Polką. W tym strasznym dniu przyszły po mnie do domu dwie zakonnice niemieckie (o ironio losu – zawsze myślałam, że zakonnice to sama dobroć) i siłą wyrwały mnie z objęć rodziców. Rozpaczała rodzice i sąsiedzi, ja krzyczałam i płakałam, ale zakonnice były nieugięte. Od tej pory przez najbliższe trzy lata płacz, smutek i rozpacz miały mi już towarzyszyć każdego dnia.

Zostałam zawieziona do Kalisza i wraz z innymi dziećmi umieszczona w klasztorze, gdzie siostry zakonne od świtu do nocy poddawały nas intensywnemu wynaradawianiu. „Wychowywały nas”, stosując pruski rygor, kazały mówić, a nawet myśleć po niemiecku. Należałam do grona małych dzieci i nie umiałam się w żaden sposób przystosować do nowego życia. Choć chowałam się w biednej rodzinie jako jedynaczka, byłam ogromnie rozpieszczana, wszystko robili za mnie rodzice. Nie chciałam uczyć się języka niemieckiego, nie mogłam zapomnieć o rodzicach, przyjaciółkach z ulicy i sąsiadach, nie umiałam być samodzielna i zadbać o siebie. Całymi dniami płakałam, karano mnie za to biciem i zamykaniem w piwnicy.

Te metody budziły coraz więcej rozpacz, łez i strachu. Nigdy nie zdążyłam dopchać się do talerza z kromkami chleba, posmarowanymi margaryną czy marmoladą. Chodziłam głodna, a jeśli zmyliłam czujność zakonnic, podkrażałam jedzenie przygotowywane dla świń, czasem mi się udało. Byłam mała i przeraźliwie chuda, nie wyglądałam na swoje 7 lat. Otoczona w domu gronem przyjaciółek i koleżanek, tu nie potrafiłam z nikim nawiązać serdeczniejszych stosunków. Do głodu, strachu przed karą, rozpacz dołączyło jeszcze jedno uczucie straszne dla tak małego dziecka – ogromna samotność, która była nie do zniesienia. Tymczasem moi rodzice nie ustawali w poszukiwaniach swojego dziecka i tak pewnego dnia mój ojciec przyszedł pieszo do Kalisza i odnalazł mnie. Ubłagał siostry, żeby zgodziły się na kilkuminutowe widzenie w rozmównicy. To było wielkie szczęście, ale i straszna rozpacz, kiedy po upływie czasu przeznaczonego na rozmowę siłą nas rozrywano, ojca odciągano ode mnie, mnie od ojca. Oboje rozpaczaliśmy i krzyčeliśmy – nigdy tego nie zapomnę. Po tej wizycie nic dobrego już mnie nie spotkało, ale zachowałam chociaż wspomnienie w sercu i myśl, że może znów coś takiego może mnie spotkać. Miałam czym żyć i o czym rozmyślać, choć warunki bytowe się nie zmieniły. Wciąż chodziłam zapłakana, głodna i zastraszona, ale miałam już nadzieję, że kiedyś może ten koszmar się skończy i wrócę do domu.

W Kaliszu byłam kilka miesięcy, nie pamiętam, czy już wtedy nauczyłam się języka niemieckiego, ale myślę, że jeszcze umiałam po polsku i pamiętam, jak się nazywam, choć nazwisko też mi odebrano i nazywałam się odtąd Anna Zachertm. Tak więc straciłam swoją tożsamość po raz pierwszy. Potem odesłano mnie do obozu w Oberweis koło Salzburga na terenie Austrii.

Było jeszcze gorzej, większa dyscyplina, obowiązywał wyłącznie język niemiecki, panował głód i często stosowano kary cielesne za każde drobne „wykroczenie”. Do samotności i głodu byłam przyzwyczajona, ale strasznie bałam się zamknięcia w piwnicy (lęk przed ciemnością pozostał do dziś) i kar cielesnych, to znaczy bicia, a zwłaszcza tak upokarzającego bicia po twarzy. Czas jednak płynął i w końcu roku 1944 zaczęto dzieci „rozdawać” tym Austriakom, którzy byli chętni do adoptowania polskiego dziecka.

Poszłam na „pierwszy ogień” – pierwsza z dzieci zostałam zabrana z obozu przez bezdzietne małżeństwo mieszkające w Oberweis. Adoptowano mnie, posłano do confirmacji, nazywałam się teraz Anna Pianek, miałam „mamę” i „tatę” – znów straciłam tożsamość. U tych ludzi miałam namiastkę domu, myślę, że na swój sposób mnie kochali, chcieli tylko wykorzystać ze mnie resztkę polskości, miałam uchodzić za ich rodzoną córkę i tak też wszystkim się przedstawiać.

Stopniowo wrastałam w nowe środowisko – nie mówiłam już po polsku i sama już nie wiedziałam, kim tak naprawdę jestem. Stopniowo przeszłość zacierała się, choć jeszcze „po cichu” wspominałam prawdziwych rodziców i tamte przyjaciółki, tu miałam już nowe koleżanki i nie chciałam się od nich odróżnić i być przedmiotem szykan jako „polski bękart”, czy też „polska świnią”. Byłam przecież zaledwie 8-letnim dzieckiem tak ciężko doświadczonym przez los, łaknącym uczuć miłości i serdecznej przyjaźni innych ludzi (może dlatego przez całe swoje dalsze życie chciałam mieć wielu przyjaciół i zaskarbić sobie życzliwość, bardzo się o to starałam). Do dziś utrata kogoś bliskiego to dla mnie cios w samo serce, dotyczy to nie tylko najbliższych, ale i przyjaciół.

Dzieci sąsiadów nie całkiem jednak traktowały mnie „jak swoją”. Moi przybrani rodzice nie mogli zmienić miejsca zamieszkania, a ich znajomi wiedzieli, że jestem Polką i z tego powodu często nie skąpili mi szyderstw ani obraźliwych epitetów. Czasy były trudne, moim przybranych rodzicom też nie powodziło się dobrze, ale dzielili się tym, co mieli. Tak doczekałam wyzwolenia, o czym oczywiście nie wiedziałam. Słyszałam rozmowy dorosłych i często siedziałam w rowie obok szosy, gdzie przejeżdżały kawalkady amerykańskich dżipów – często rzucali mi słodycze, suchary itp. Łupy te zwykle oddawałam przybranej matce. Pewnego razu taki właśnie dżip zatrzymał się koło naszego domu. Do mieszkania przyszli dwaj polscy oficerowie z chłopcem kilka lat starszym ode mnie o imieniu Olek, którego znałam z obozów w Kaliszu i Oberweis – powiedział tym oficerom, że jestem polskim dzieckiem, bo zapamiętał adres tej rodziny, która mnie adoptowała. Zapytana przez nich, kim jestem, odpowiedziałam zgodnie z żądaniem przybranych rodziców, że jestem ich córką – bałam się, że mogą mnie pobić. Nie rozumiałam już ani jednego słowa w języku polskim. Musieli do mnie mówić po niemiecku. Polacy widzieli moje przerażenie i nie uwierzyli, że jestem prawdziwym dzieckiem tych państwa. Znów przy akompaniamencie łez, rozpacz i krzyków zostałam zabrana z ich domu. Po raz kolejny straciłam tożsamość – miałam już prawie 9 lat i znów nie wiedziałam, kim jestem.

Postanowiłam, że nigdy już nikomu nie powiem, jak się nazywam i skąd pochodzę. Zawieziono mnie do obozu w Salzburgu, gdzie mieszkałam znowu w baraku za drutem kolczastym. Odnalazłam jednak wiele dzieci, które przeszły przez obozy w Kaliszu i Oberweis. Niektóre, młodsze, podobnie jak ja nie mówiły po polsku.

Była straszna bieda, ale traktowano nas serdecznie, kierownik obozu, a także inne osoby (wychowawcy – oficerowie WP) pragnęli mnie adoptować, gdyby nie znaleźli się moi rodzice. Szybko nauczyłam się języka polskiego i wkrótce już mówiłam dobrze po polsku. Konsekwentnie twierdziłam jednak, że nie znam swojego nazwiska i nie wiem, kim jestem. Kurczowo trzymałam się mojego płaszczyka z Polski. I mimo że lata biegły, a ja z niego wyrastałam – nie chciałam się z nim rozstać. Czulałam, że kiedyś może się przydać. Na razie nazywałam się Anna IKS i tak też oznaczone były moje rzeczy. W obozie w Salzburgu miałam już przyjaciółki, przyjąłłam Sakrament I Komunii, ale wciąż byłam anonimowym dzieckiem z obozu, otoczonego drutem kolczastym.

Stopniowo niektóre dzieci zostawały odnalezione i odsyłane do rodziców. Ja nie, ponieważ byłam Ania IKS. Bardzo źle wyglądałam, miałam sporą niedowagę, wciąż tęskniłam za prawdziwym domem i płakałam bez końca. Postanowiono wysłać mnie, wraz z grupą innych dzieci, na wakacje do Włoch. Tu warunki były wspaniałe, dużo południowych owoców, których nigdy przedtem nie widziałam i nie jadłam. Mieszkaliśmy też w luksusowych warunkach i zaczęłam chodzić do szkoły. Uczyłam się bardzo dobrze, nauczyciele chwalili mnie za zdolności, zresztą nauka przychodziła mi łatwo i bez wysiłku. W nagrodę zostałam wysłana do Hiszpanii. Znałam już trochę włoski i hiszpański, natomiast jeśli chodzi o język niemiecki – nie pamiętam już ani jednego słowa (wymazałam je z pamięci).

Coraz bardziej męczył mnie fakt, że nie mam nazwiska, ale nie chciałam wydać się kłamczucha i przyznać, że pamiętam. Któregoś ranka przyszłam do swojej wychowawczynie i spytałam „czy człowiek tak samo się nazywa, jak się podpisuje?”. Odpowiedziała twierdząco, a wówczas oznajmiłam jej, że w nocy przyśniło mi się, że moja mamusia nazywa się Zosia, a tatuś Stasio, podałam też nazwisko i miasto Łódź jako miejsce zamieszkania (do dziś nie wiem, dlaczego nie powiedziałam Zgierz). Popęliłam też zabawną pomyłkę, bo powiedziałam, że mój tatuś jest fabrykantem w wielkiej fabryce „Boruta”. Nie zrobiłam tego celowo, by wydać się kimś lepszym. Wiedziałam, że wychodzi każdego dnia do fabryki, a więc jest fabrykantem (terminu robotnik nie znałam wcale). Nie wiem, dlaczego zdumiewano się, skąd wzięło się tu fabrykanckie dziecko, ale wszystkie te dane spisano, potwierdzono, na podstawie danych znalezionych w moim płaszczyku, z którym nigdy nie chciałam się rozstać. Jako dziecko fabrykanta zaczęto posyłać mnie na naukę gry na pianinie, uczyć obcych języków, a także zostałam z ogólnej sali przeniesiona do pokoju wychowawczynie. Wydaje się to mało prawdopodobne, ale po upływie kilku tygodni w Hiszpanii znalazł mnie list z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, w którym zapytywano, czy przebywa dziecko o podobnych do moich personaliach. Moi rodzice zawsze uważali, że to cud prawdziwy, że postanowiłam odzyskać pamięć i podałam swoje prawdziwe dane. W ten sposób wreszcie odzyskałam swoją tożsamość i rozpoczęłam drogę powrotną do Kraju.

Minęły 3 lata od porwania mnie z domu. Od czasu spotkania z Ojcem w Kaliszu (1943) moi rodzice nie wiedzieli, co dzieje się z ich dzieckiem, czy żyje, czy skończyło życie w krematorium, czy też zostało zgermanizowane. Moja gehenna dobiegała końca. Wraz z opiekunką i starszym kolegą, który pochodził z Łodzi, etapami wróciłam do wytęsknionego kraju. I znów rozczarowanie i smutek – w Katowicach umieszczono nas w obozie za drutami, gdzie przebywali jeńcy niemieccy, którzy mieli być deportowani do Niemiec. Znów spałam na barłogu, nie było jedzenia, gryzły mnie insekty. Chłopiec był starszy i jakoś udało mu się wrócić szybko do Łodzi. Ja czekałam, żeby ktoś po mnie przyjechał, ale wszyscy zapomnieli o dziecku, płaczącym się między jeńcami, głodnym i znów zapłakany. Byłam spuchnięta od płaczu i straszliwie pogryziona przez pluskwy. Wreszcie po kilku strasznych tygodniach ktoś sobie przypomniał i powiadomił rodziców. Którejś nocy wszedł do baraku, do izby, w której spałam, mój tata – poznałam go, ale bałam się, że on mnie nie pozna po tylu latach i nie zechce zabrać. Krzyczałam – „Tatuś, to ja twoja córeczka, moja mama nazywa się Zosia, moja przyjaciółka nazywa się Terenia”. Tata oczywiście płakał z radości, poznał mnie, mimo że byłam strasznie wynędzniała. Kupił mi w pociągu bułkę z kielbasą i jej smaku nigdy nie zapomnę, była taka dobra.

Kiedy wróciliśmy do domu, czekała na mnie „cała ulica”, znajomi i rodzice, sąsiedzi i koleżanki. Wróciłam do siebie i do swojej tożsamości.

Na tym właściwie powinnam skończyć swoje wspomnienia, ale okazuje się, że nie tak łatwo zerwać z przeszłością, która dwukrotnie jeszcze się do mnie odezwała.

Tak więc zaczęłam w końcu w 1946 normalne życie, otoczona znów miłością i życzliwością rodziców i wszystkich wokół. Poszłam do III klasy Szkoły Podstawowej w Zgierzu, której kierownik znał moją historię i prosił dzieci, żeby były dla mnie miłe i otoczyły opieką. Różnie z tym było, ale powoli zdobywałam sobie sympatię i przyjaźń koleżanek i kolegów. Kolejno kończyłam szkołę podstawową, gimnazjum im. Stanisława Staszica w Zgierzu, a potem studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Łódzkiego. Na IV roku studiów założyłam rodzinę, a w 1959 urodziłam córkę. W 1960 rozpoczęłam pracę w organach ścigania.

Jako dziecko wiele pracowałam nad sobą, żeby zwalczyć lęki i obawy. Myślę, że mi się to udało, głównie dzięki rodzinie i przyjaciółom. Jednak przez wiele lat budziłam się w nocy z krzykiem, nie lubiłam być sama i nie miałam poczucia całkowitego bezpieczeństwa.

W roku 1984 najpierw zawał serca, a potem wiele innych chorób, wyrwało mnie przedwcześnie z grona osób pracujących, choć bardzo kochałam swoją pracę i byłam mocno związana emocjonalnie z ludźmi, z którymi pracowałam.

Ale wróćmy raz jeszcze do historii w roku 1983. Odnalazł mnie w Polsce chłopiec, dzięki któremu odebrano mnie rodzinie w Austrii. Ten 15-letni wówczas (w 1945) chłopiec przez 27 lat nie zgubił kopy, która nadeszła z listami z Hiszpanii i postanowił mnie odnaleźć. Był już księdzem, mieszka w Anglii i tam wypełnia swoją posługę kapłańską. Rozmowom i wspomnieniom nie było końca. W 1997 mój adres otrzymała od niego doktorantka z Austrii, która pisała pracę na temat dzieci polskich podanych w czasie wojny procesowi wynarodowienia.

Przyjechała przeprowadzić ze mną wywiad i wówczas opowiedziałam jej też o moich przybranych rodzicach w Austrii. Poruszona tą historią rozpoczęła po powrocie do Austrii poszukiwania mojej przybranej matki i odnalazła tę 85-letnią dziś staruszkę.

Wkrótce dostałam od niej list, a także swoją fotografię, przechowywała ją przez 50 lat.

Napisała mi, że kochała mnie jak własne dziecko. Rozpoczęliśmy korespondencję, lecz jeszcze się nie widziałyśmy. W 1991 powstało w Łodzi Stowarzyszenie Dzieci Germanizowanych, którego jestem członkiem.

Przedtem przez wiele lat starałam się o członkostwo w Stowarzyszeniu Kombatanców, lecz z uporem odmawiano, twierdząc, że 7-letnie dziecko nie mogło walczyć. Cóż prawda, ono tylko przechodziło nieludzkie cierpienie moralne i fizyczne, ale nikt się tym nie przejmował.

Ale teraz nie jest to już ważne, nie ubiegałam się o pieniądze, chciałam tylko, żeby było to utrwalone w pamięci, zwłaszcza dla moich dzieci i ich potomków. Tak więc historia zatoczyła pełne koło: Moi rodzice już nie żyją, za to gdzieś w Austrii odnalazła się moja przybrana matka.

Sama jestem dziś rencistką II grupy, żyję otoczona miłością rodziny i przyjaźnią bliskich mi ludzi.

Dla tych, którzy czytają tę historię, brzmi ona może nieco melodramatycznie, ale jest w pełni prawdziwa.

Poświęcam ją moim ukochanym rodzicom i nieodżałowanej przyjaciółce Andzi.